



MIŁOSZ SZYMAŃSKI

# SZKODA ZACHODU

Opowieści z Ziemi Opuszczonych

Autor podcastu

**ZA RUBIEŻĄ**

HORYZONT

**znak**



# **SZKODA ZACHODU**



**MIŁOSZ SZYMAŃSKI**



**Opowieści z Ziemi Opuszczonych**

Znak Horyzont  
Kraków 2026

Koncepcja okładki oraz zdjęcie na pierwszej stronie okładki i wyklejkach  
Daria Szymańska

Opracowanie okładki i projekt wyklejek  
Marcin Słociński

Zdjęcie autora na czwartej stronie okładki  
Daria Szymańska

Redaktor inicjujący  
Krzysztof Chaba

Redaktorka prowadząca  
Magdalena Kowalewska

Opieka promocyjna  
Karolina Domańska

Koordynatorka procesu wydawniczego  
Agata Błasiak

Redaktorka językowa  
Agnieszka Mąka

Adiustacja  
Kinga Kosiba

Korekta  
Witold Kowalczyk  
Paweł Denkowski

Wybór ilustracji  
Miłosz Szymański  
Magdalena Kowalewska

Łamanie  
Dariusz Ziach

Copyright © by Miłosz Szymański  
Copyright © for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2026

ISBN 978-83-8427-514-6  
ISBN (e-book) 978-83-8427-561-0

Znak Horyzont  
www.znakhoryzont.pl

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)  
Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)  
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37  
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)  
Wydanie I, Kraków 2026. Printed in EU

## SPIS TREŚCI

Pustka	7
Wapienno, którego już nie ma	15
Polanów, który znów jest	55
Warcino, siedziba Żelaznego Kanclerza	95
Baza kosmiczna w Pile	125
Biały Bór i niechciana sława	157
Gorzów, ale jaki?	177
Karlino, które nie zostało Kuwejtem	215
Słupsk	247
Podziękowania	257
Bibliografia	259
Źródła ilustracji	267



## PUSTKA

Jest taki fragment Polski, który rzadko przebija się do ogólnokrajowej świadomości. Nie jest to do końca Wielkopolska ani Pomorze, ani Ziemie Odzyskane, ani po prostu nasze. To ten fragment kraju, w którym mało kto mieszka, bo – jak okiem sięgnąć – wszędzie tylko pola, lasy, jeziora i poligony. Łatwiej zdefiniować ten obszar przez to, czym nie jest, albo przez to, czego w nim nie ma.

Nie ma w nim brzegu morza, skupisk ludzi, wielkiego przemysłu ani niczego spektakularnego. Dla większości Polaków jest to po prostu przestrzeń, którą trzeba pokonać w drodze na plażę. Pola i lasy przelatują za szybą samochodu lub jednego z nielicznych pociągów kursujących tamtędy.

Gdzie więc jest ta pustka? Rozciąga się na południe od morza, ale na północ od aglomeracji Poznania. Na wschód od Odry, ale na zachód od Trójmiasta

i Bydgoszczy. Nie ma tam wielkich miast, a Gorzów Wielkopolski czy Słupsk są lokalnymi metropoliami. Pustka rozciąga się na obszarze pięciu województw i ponad trzydziestu powiatów, które łączy fakt, że gęstość zaludnienia jest tam trzykrotnie niższa od polskiej średniej. Pustka obejmuje jedną siódmą powierzchni kraju, ale mieszkają tam zaledwie dwa miliony ludzi – to tyle samo, ile na Warmii, Mazurach czy Podlasiu, ale te z czymś się kojarzą, mają określony charakter, a przede wszystkim jeżdżą tam Polacy z innych części kraju. Pustkę rzadko ktoś odwiedza; Pustkę trzeba przebyć, żeby dotrzeć gdzieś indziej.

Spędziłem większość życia na obrzeżach Pustki, a część – nawet w jej wnętrzu. Przez cały ten czas mnie fascynowała. To w niej mogłem jechać rowerem po asfaltowej drodze i nie spotkać nikogo przez godzinę, a nie-rzadko i dłużej. Czas płynie tam inaczej – niekoniecznie wolniej, po prostu inaczej. Przemierzając Pustkę, można skręcić z głównej drogi i trafić na wioskę zamrożoną w czasie, tak jakby ostatnie osiemdziesiąt lat się nie wydarzyło – no, może z wyjątkiem samochodów zaparkowanych pod wielkimi domami z czerwonej cegły. Tam też można położyć się na łące i doświadczyć takiej ciszy, w której szelest liści staje się hałasem. Żyją tam – w miastach, miasteczkach i wsiach – ludzie, dla których jest to po prostu mała ojczyzna. Nie dziwi ich, że w promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie ma ani dużego miasta, ani autostrady. Normalne jest dla nich, że czasem trzeba

pojechać samochodem godzinę czy dwie, żeby załatwić poważniejsze sprawy. Dla mnie jednak, wychowanego na przedmieściu wielkiego miasta, jest w tym jakaś pociągająca egzotyka, której nie umiem wyjaśnić.

Wyruszą z Poznania na północ. Pustka daje o sobie znać bardzo szybko. Z tamtej strony poznańskie przedmieścia urywają się równo z administracyjnymi granicami miasta. Dalej na mapie znajdują się takie nazwy jak Glinienko, Łagiewniki czy Okalewo. Tych wsi już nie ma, nie uchował się nawet kościół w Chojnicy. Pożarł je Poligon Biedrusko, który trzeba ominąć, żeby pojechać dalej. Wrażenie zięjącej od niego pustki zostaje na długo. Następne są wiecznie zakorkowane Oborniki, przez które trzeba się przebijać, żeby przekroczyć Wartę, bo najbliższe mosty znajdują się dwadzieścia kilometrów na zachód lub południe. Na przedmieściach Obornik leży jeszcze Dąbrówka Leśna, wciśnięta już w Puszcę Notecką. Za nią jest długa prosta przez las. To tutaj zaczyna się Pustka.

Symboliczną bramą Pustki jest pojedynczy dom stojący przy drodze wojewódzkiej numer 178. W okolicy mówi się na niego „szlaban”. To miejsce, w którym kończy się gmina Oborniki, a zaczyna gmina Ryczywół. To też miejsce, w którym kiedyś biegła granica między województwami poznańskim i pilskim. Tu można skręcić na zachód i przez sto kilometrów nie wyjść z lasu – jeśli nie liczyć przecinek, bo Puszcza Notecka jest lasem przemysłowym, a nie ostoją natury.

Pierwszą miejscowością po tamtej stronie – pierwszą już w Pustce – jest Lipa. Spędziłem w niej rok na wsłuchiwaniu się w wołanie Pustki. Przez Puszcę wiedzie niewiele dróg, więc z Lipy da się zasadniczo wyjechać tylko na północ lub na południe. Na północy Pustka rozciąga się przez dwieście kilometrów. Kolejne miejscowości są podobne, otoczone lasami. Życie w nich płynie inaczej. Czasem po prostu wolnej, a czasami równie szybko, choć nieco ociężale. Zaledwie czterdzieści kilometrów na południe, w centrum Poznania, są korki, zgiełk i wielkomiejski świat. Lipa, jak się zdaje, funkcjonuje w odmiennej rzeczywistości. Trzeba włożyć wysiłek w to, by się do niej dostać lub ją opuścić. Autobus do Obornik jeździ co dwie godziny, a dopiero tam można złapać jakikolwiek pociąg.

Za każdym razem, gdy wyjeżdżałem z Lipy lub do niej wracałem, czułem, że przekraczam niewidzialną granicę między rzeczywistościami. Z jednej strony był świat pełen zgiełku, a z drugiej – pełen pustki.

Dalej na północ, w głąb Pustki, znajduje się Czarnków, leżący nad Notecią, która wyznaczała granicę Drugiej Rzeczypospolitej. Za nią były Niemcy czy inna Trzecia Rzesza. Niemcy byli nawet w moim domu w Lipie. Żyli tam do 1945 roku, bo choć była to wieś polska, to ze znaczną niemiecką mniejszością. Człowiek, który w 1926 roku zbudował mój dom, nazywał się Güller. Gdy go opuszczał, rzucił klątwę na zajmującą go rodzinę spod Łodzi. Powiedział, że nikt obcy nie będzie

tam szczęśliwy. Na mnie klątwa podziałała połowicznie, bo – w przeciwieństwie do Güllera – wyprowadzałem się z niego bez żalu, a nawet z ulgą, ale z pewną nostalgią.

Za Czarnkowem leży Trzcianka, promująca się hasłem: „Trudno wymówić, łatwo polubić”. Polubiłem ją w 2002 roku, kiedy to spędziłem w okolicznych lasach miesiąc na obozie harcerskim. Wtedy jeszcze na Placu Pocztowym w centrum miasta stało mauzoleum żołnierzy radzieckich. Nie był to jakiś ewenement w Pustce, którą całą zjeździłem na rowerze. W Insku i Wałczu wpadłem na ulicę Armii Czerwonej, w Szczecinku i Pile – na Bohaterów Stalingradu, a ulica Jedności Robotniczej w Jastrowiu ostała się do dziś.

Pustka kojarzyła mi się przede wszystkim z obozami harcerskimi, na których byłem trzy razy. W późniejszych latach przemierzałem ją kajakiem podczas spływów. W 2010 roku wylądowałem na cztery lata w Szczecinie – miejskiej wyspie odciętej Pustką od reszty kraju. Stamtąd eksplorowałem Pustkę na rowerze. Wreszcie zagłębiłem się w nią i na trzy lata sprowadziłem się do Gorzowa. Żyłem w pusteckiej metropolii, kontemplowałem czas i przestrzeń. Przemierzyłem wiele rzek w Pustce i odwiedziłem każdą jej gminę. Człopa, Trzcianka, Tuchola, Wałcz czy Mirosławiec stały mi się bliskie jak starzy znajomi, do których chętnie wracałem.

Za Wałczem, a jeszcze przed Czaplinkiem, leży wieś Machliny. W 1952 roku był tam dziki zachód, na

którym przed władzą ludową ukrywał się mój dziadek Ryszard Kujawski. Jego zbrodniami były hodowla świń na zarobek i krytyczny stosunek do PRL. Spędził tam niemal rok. Zdążył nawet ściągnąć do siebie ciężarną babcię. W ten sposób najstarszy brat mojej mamy został pierwszym od pokoleń członkiem rodziny urodzonym poza wschodnią Wielkopolską.

Z Wałcza odbijam jednak na zachód, by doświadczyć dwóch charakterystycznych dla Pustki rzeczy. Po pierwsze, dróg jest mało, więc często przychodzi pchać się z rowerem na drogi krajowe. Alternatywy to przebijanie się przez rozjeżdżone harwesterami leśne dukty albo nakładanie drogi. Po drugie, nad moją głową latają myśliwce, których huk rozdziera powietrze. Lotnisko w Mirosławcu zostawiam jednak za sobą i popękaną asfaltową drogą zmierzam jeszcze dalej na zachód. Do wsi Orle, która leży w samym sercu Pustki i stanowi jej Centrum.

Centrum jest kluczem do zrozumienia, czym jest Pustka. W Orlu kończyła się Rzeczpospolita Obojga Narodów, a z trzech stron otaczała ją Brandenburgia. Wokół w promieniu wielu kilometrów rozciągają się lasy, a w mieszczących się tu i ówdzie przecinkach przycupnęły niewielkie wsie. Nieopodal znajduje się Polygon Drawski – największy w Polsce i jeden z większych w Europie. Gdyby stanąć w centrum Orla, obok przydrożnego krzyża na skrzyżowaniu trzech dróg, można by zrozumieć, dlaczego tak wielki kawałek Polski do dziś jest aż tak pusty.

Te ziemie od zawsze są pograniczem. Przez sześćset lat było to pogranicze między różnymi państwami niemieckimi a Polską. Zarówno wcześniej, jak i później – a nawet dziś – jest to pogranicze między krainami geograficznymi. Jedne fragmenty Pustki zaliczane są do Wielkopolski, inne do Pomorza, ale tak naprawdę najczęściej wspólnego mają ze sobą nawzajem. Są obrzeżami, a nie centrum. Stąd też wzięła się nazwa Krajny, czyli fragmentu Pustki między Piłą a Bydgoszczą. W pogranicze nie warto było inwestować, na pograniczu strach było mieszkać. Dlatego tereny te pozostały Pustką przez setki lat. Gdy już przez Pustkę przestała przebiegać granica państwowa, to i tak pozostał po niej wyraźny ślad. Nie da się tak po prostu zszyć przestrzeni, która przez wieki była podzielona. Nie udało się Prusakom, Niemcom, a Polakom jak na razie też idzie opornie. Czy to źle? Nie wiem, chyba nie. Pustka jest jakaś – chociaż trudno uchwycić jej charakter. Łatwiej powiedzieć, jaka nie jest. Dla wielu osób Pustka nie jest interesująca, dlatego nie myślą o niej na co dzień i nie mają o niej zdania. W Pustce tymczasem żyją ludzie, którzy mają swoje sprawy, wyjeżdżają z niej, rzadziej do niej wracają – i pozostają zagadkową grupą dla reszty Polaków. Pustka naznacza ich jednak i powoduje, że są odrobinę inni niż wszyscy, choć często nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Pustkę trudno zdefiniować, ale ciężko też być wobec niej obojętnym. To mnie w niej najbardziej fascynuje.





**WAPIENNO,  
KTÓREGO JUŻ NIE MA**

144 kilometry od Centrum



– To przeze mnie zlikwidowali Wapienno. Uparłem się, bo byliśmy o krok od tragedii. Kopalnia pożarła własne dzieci. – Marian Mazurowski zamyśla się na chwilę i gładzi wąsa.

Wapienno powstało, rozkwitło i zniknęło przez kopalnię wapienia. Zostały po nim osiem liter na mapie i pustka w setkach serc.

Zanim jednak to wszystko się wydarzyło, była tajemnica – przeciwieństwo pustki. Pustka jest wtedy, gdy już wiadomo, że nic nie ma, tajemnica wtedy, gdy wiadomo, że coś jest, ale nie wiadomo co.

Tajemnicą kilku wsi na Pałukach – w regionie na pograniczu Wielkopolski i Kujaw – było to, co kryje się pod ziemią. Ludzie coś przeczuwali, bo na powierzchni pojawiały się znaki. Wystarczyło chwilę pokopać, by ukazała się biała ziemia. Po deszczu zostawały dziwne mleczne kałuże. Obok siebie wyrosły dwie wsie, Bielawy i Białe Błota, które istniały jeszcze

przed Wapiennem. Dawniejsze nazwy miejscowości zazwyczaj nie brały się znikąd. Nadawano je od imienia założyciela, charakterystycznej cechy krajobrazu czy zajęcia wykonywanego przez znaczącą część społeczności – stąd właśnie Poznań, Góra czy Jadowniki.

Bielawy i Białe Błota były zwykłymi miejscowościami rolniczymi, jakich wiele w okolicy. Kilkanaście chałup tu, kilkadziesiąt tam, obok las, a wszystko to na równinie upstrzonej jeziorami. Kilka kilometrów dalej płynęła Notec, która skręcając z północy na zachód, wyznacza granicę między Pałukami a Kujawami. Pośrodku tego wszystkiego – ziemia o białawym zabarwieniu, z której upalnym latem unosił się pył w kolorze mączki kostnej i która po solidnym deszczu zamienia się w lepkaż przypominającą lody waniliowo-czekoladowe.

Nie wiadomo dokładnie, kto, kiedy i gdzie jako pierwszy dokopał się do pokładów wapienia, ale przypadkiem zmieniło to historię okolicy na zawsze. Złoża wapienia nad Notecią wspomina już *Statystyka departamentu bydgoskiego ułożona w miesiącu kwietniu 1812 roku*. Można tam przeczytać, że „wapna ma departament bydgoski podostatkiem, mianowicie w lasach ekonomii koronnej bydgoskiej należących”. Autorzy nie precyzują, gdzie dokładnie ów wapień się znajduje, wiadomo tylko, że wydobywa się go w okolicy.

Pierwsze udokumentowane doniesienia o występowaniu tej skały osadowej nieopodal Wapienna pojawiły się w połowie XIX wieku, kiedy Pałuki były częścią

Prus. Pochodzą od Wilhelma Roloffa, właściciela sąsiednich wsi Bielawy, Aleksandrowo i Piechcin. W trakcie kopania studni w Bielawach trafił on na skałę wapienną znajdującą się trzydzieści stóp pod ziemią (Stopa pruska to 0,3139 m; 30 stóp to 9,417 m). Poczul, że może na tym zrobić interes, ale nie dysponował dostatecznym kapitałem, by otworzyć kopalnię. Postanowił więc poszukać partnerów biznesowych. Miał dobrą intuicję, bo mniej więcej w tym samym czasie jego sąsiad Hamilkar Brzeski, właściciel wsi Krotoszyn, wydobywał skałę wapienną na potrzeby własnego folwarku. Robił to w miejscu, w którym powstanie Wapienno. Obaj nie wiedzieli jeszcze, że trafili na to samo złożo, ciągnące się przez kilka kilometrów. Brzeski także nie miał środków na otwarcie większej kopalni. Miał jednak więcej szczęścia lub wyjątkowy dryg do interesów, bo znalazł wspólnika – i to nie byle jakiego.

\* \* \*

Cegła wyleciała z okna na piętrze i z hukiem rozbiła się na stosie innych, wyrastającym w podwórzu nieopodal szeregu garaży, kilka metrów od eleganckiego SUV-a marki BMW. Wsiadł z niego młody facet w dżinsach, ciemnych okularach i schludnej fryzurze. Wyglądał na pewnego siebie inwestora, który wszedł w branżę nieruchomości po to, żeby zarabiać na opłacenie raty leasingowej za auto warte co najmniej tyle, ile mieszkania,

którymi handlował. Spojrzał na auto i stos cegieł, a potem krzyknął w kierunku otwartego okna:

– Ja tu stoję!

Ze środka wychylił się murarz z papierosem w kąciku ust. Na jego pokrytej pyłem twarzy malowało się zdziwienie. W rękę trzymał kolejną cegłę. Rzucił nią nieco dalej od BMW, kiwnąwszy głową w kierunku inwestora.

– Szuka pan pracy? – Inwestor spojrzał na mnie. – Potrzebuję murarza – dodał nieco ciszej i kiwnął głową w stronę okna, z którego wyleciała kolejna cegła.

– Nie, ja tu tylko zwiedzam – odparłem.

Inwestor wzruszył ramionami i poszedł w kierunku bocznej ściany, w całości obstawionej rusztowaniem, pod którym znajdowało się reprezentacyjne wejście do budynku.

Kamienica przy ulicy Dworcowej 59 w Inowrocławiu była mocno zaniedbana. Mury z zewnątrz wyglądały na zdrowe, ale w środku do zrobienia było wszystko. Przynajmniej tyle dało się stwierdzić przez brudne okna w spróchniałych ramach. Mimo to z perspektywy ulicy, a nie podwórza z garażami, kamienica nadal prezentowała się okazale. Szpeciły ją okna, rusztowania i parterowa dobudówka z lewej strony. Wyglądała, jakby ktoś kiedyś prowadził w niej wypożyczalnię kaset wideo, która kilkanaście lat temu zbankrutowała, potem próbował jeszcze sił w sprzedaży hot dogów i hamburgerów, po czym ostatecznie się poddał i zabił

okna dechami. Kamienica wyraźnie wyróżniała się na tle sąsiednich budynków – poza dobudówką były to klockowaty biurowiec mieszczący gabinety lekarskie i szkołę policealną oraz blok mieszkalny z lat siedemdziesiątych. W samej kamienicy aż do czasu drugiej wojny światowej mieściła się siedziba Kalkbruch – Wapienno Michael Levy & Co., przemianowanej później na Zakłady Wapienne „Wapienno” Michael Levy i S-ka.

Michael Levy urodził się w 1807 roku w Inowrocławiu, we wpływowej rodzinie, której protoplastą był rabin Aaron Mojżesz Levy, zmarły w 1799 roku. Michael przyczynił się do industrializacji swojego miasta i Kujaw jako przemysłowiec, a później radny miejski. Działał na rzecz budowy kolei z Poznania do Torunia przez Inowrocław oraz angażował się w liczne inwestycje w zakłady solne i sodowe. Jedną z nich była spółka z Hamilkarem Brzeskim.

Spółka Kalkbruch – Wapienno Michael Levy & Co. powstała już w 1872 roku. Od razu zbudowano kopalnię odkrywkową z prawdziwego zdarzenia, a w ciągu kilku lat powstały także dwa piece do wypalania wapna. Pozwoliło to sprzedawać gotowy produkt, czyli wapno palone – to samo, które dodaje się do zaprawy murarskiej czy zbyt kwaśnej gleby. W owym czasie był to surowiec nieomal strategiczny. Nowoczesne rolnictwo powstało dopiero po 1840 roku, kiedy to Justus von Liebig udowodnił, że rośliny wchłaniają substancje mineralne przez korzenie. W dodatku industrializacja

i urbanizacja stwarzały niemal nieskończone zapotrzebowanie na materiały budowlane.

Każdy piec produkował nawet siedemdziesiąt beczek wapna na dobę, co było wielkim sukcesem, ale generowało nowe problemy. Wywożenie towarów w takiej ilości wozami konnymi do Inowrocławia było kłopotliwe. Z kolei transport rzeczny nie wchodził w rachubę, bo Noteć w tej okolicy była zbyt mała, a jej koryto znajdowało się trzy kilometry od kopalni. Osobny problem stanowiło to, że piece potrzebowały węgla, który także trzeba było dowozić.

Kwestię opału udało się częściowo obejść dzięki użyciu torfu, pozyskiwanego z torfowiska na obrzeżach Barcina, ledwie pięć kilometrów od Wapienna. Logistyka pozostawała jednak wyzwaniem, któremu Michael nie podołał aż do śmierci w 1879 roku. Zarząd nad zakładem przejął jego syn Juliusz. W 1887 roku zniecierpliwiony – a może znudzony – Brzeski sprzedał Juliuszowi swoje udziały i wycofał się ze spółki. Może nie chciał już dłużej czekać na przełom w działalności, a może po prostu miał inny pomysł na siebie. Tak czy inaczej, dwa lata później, w 1889 roku, otwarto długo wyczekiwaną linię kolejową z Inowrocławia do Rogoźna przez Żnin. Biegła ona przy samej kopalni wapienia. Zaczął się nowy rozdział w historii zakładu, ale i miejscowości, która już wtedy powoli się rodziła.

Pod zarządem Juliusza Levy'ego kopalnia rosła w oczach. Powstawały piece do wypalania wapna z wapienia, kolejki

wąskotorowe do transportu urobku z wyrobiska, dźwigi przeładunkowe, bocznice kolejowe i wiele innych. Dzięki kolei można było dużo sprawniej wywozić gotowy produkt, wydobywanie surowca rosło więc dynamicznie. Zakład mógł się dalej rozwijać, ale do tego potrzebni byli nowi ludzie. Początkowo w kopalni pracowali głównie mieszkańcy wsi Krotoszyn, należącej do majątku Brzeskiego. Była to jednak niewielka miejscowość i nie mogła zapewnić dość rąk do pracy. W sąsiednich Bielawach i Piechcinie także otwarto kopalnie, które ostatecznie połączyły się z Wapiennem w jeden znaczny zakład. Zapotrzebowanie na pracowników było tak duże, że ani okoliczne wsie, ani Barcin – liczący wówczas tysiąc mieszkańców – nie były w stanie dostarczyć potrzebnej liczby robotników. A nawet gdyby były w stanie, to docieranie do pracy pieszo kosztowało sporo wysiłku. Na terenie kopalni musiało powstać osiedle, do którego można było ściągnąć na stałe pracowników z bliższej i dalszej okolicy. W pobliżu kopalni, w pojedynczych domach, mieszkało już kilkadziesiąt osób, ale to było za mało. Wreszcie w 1888 roku zbudowano piętrowe familoki z cegły. Takie same jak tysiące podobnych na innych przyzakładowych osiedlach, jak Niemcy długie i szerokie.

W mieszkaniach bez toalet i bieżącej wody, za to wybudowanych z cegły zamieszkali robotnicy wraz z rodzinami. Z dzisiejszego punktu widzenia panujące tam warunki były spartańskie – ciasne mieszkania składały się

z pokoju z kuchnią. Dla ludzi, którzy wychowali się w drewnianych chałupach z klepiskiem zamiast podłogi, były jednak szczytem nowoczesności. Kilkadziesiąt lat później podobnym przełomem okazały się dla mieszkańców PRL-owskich wsi bloki z wielkiej płyty – z łazienkami, bieżącą wodą i centralnym ogrzewaniem.

Zarówno pierwsi, jak i ostatni mieszkańcy Wapienna wiedli życie na krawędzi. Kopalnia stale się powiększała, podążając za złożem. Początkowo krawędź wyrobiska przebiegała kilkaset metrów od domów, z każdym rokiem jednak się do nich przybliżała. Przesuwała się powoli i nieubłaganie jak lodowiec, ale w końcu – dziesiątki lat później – dotarła do familoków, pochłonęła je i poszła dalej.

Dzięki budowie familoków ludność Wapienna skoczyła z pięćdziesięciu dwóch osób w 1885 roku do ponad trzystu w roku 1905. W trzydziestometrowych klinkach wychowały się cztery pokolenia mieszkańców osady, aż do końca jej istnienia – to znaczy do jej pierwszego końca, bo Wapienno kończyło się dwa razy. Ostateczny finał przyszedł na początku XXI wieku. Wróćmy jednak do początku wcześniejszego stulecia, kiedy wszystko szło naprzód.

Początek wieku zbiegł się z przejściem zarządu nad kopalnią przez ostatniego z rodu Levych. Po śmierci Juliusza w 1902 roku władzę objął jego syn Leopold, który z rozmachem kontynuował dzieło ojca i dziadka w Kalkbruch – Wapienno Michael Levy & Co. Leopold

Levy był jednak kimś znacznie więcej niż tylko właścicielem kombinatu wapiennego. W 1910 roku został członkiem zarządu Niemieckiego Stowarzyszenia Zakładów Wapienniczych, a w 1913 roku – jego przewodniczącym. Posiadał udziały w wielu przedsiębiorstwach, w tym kilku gorzelniach i bankach oraz cukrowni w Wierzchosławicach. Był także członkiem Rady Miejskiej Inowrocławia, a nawet jej przewodniczącym, w latach 1911–1918 zaś – posłem do sejmiku pruskiego. Poza tym był członkiem, założycielem lub przewodniczącym wielu organizacji społecznych i branżowych oraz jednym z dziesięciu najbogatszych mieszkańców Inowrocławia. Pod jego zarządzeniem wydobywanie wapienia oraz wypalanie wapna stale rosło. Kres hossy nadszedł wraz z końcem Wielkiej Wojny, kiedy Niemcy ogarnął kryzys gospodarczy. W latach 1887–1913, pod zarządzeniem Juliusza i Leopolda, wydobywanie wapienia wzrosło ze stu ton do dwustu tysięcy ton rocznie. Przez ćwierć wieku dokonali oni transformacji od odkrywki, w której ludzie pracowali kilofami, a wózki z urobkiem były wciągane przez konie, do kopalni, w której urobek wysadzono dynamitem, a zbierano maszynami parowymi. Zaczęli od jednego niewielkiego pieca opalanego torfem, a skończyli na kilku nowoczesnych, opalanych węglem.

Wapienno produkowało kamień wapienny na cele budowlane, drobny kamień do zakładów chemicznych w Mątwach oraz wapno palone dla rolnictwa i do



Budynki należące do Levy'ego. U góry pałac w Inowrocławiu, pamiętający lepsze czasy, na dole odnowiony pałacyk w Wapienne

zapraw murarskich. Leopold wybudował także pałacyk, w którym przebywał, gdy odwiedzał Wapienno. Później ulokowano w nim przeniesioną z Inowrocławia dyrekcję, której siedziba mieści się tam do dziś.

Pierwsza wojna światowa zmieniła wiele. Przede wszystkim sam Leopold w wieku czterdziestu czterech lat został wzięty do armii w randze pułkownika. Na front trafiło także wielu mieszkańców Wapienna i okolicy. Skala mobilizacji była ogromna, trudna do wyobrażenia dla współczesnego obserwatora. W cesarstwie niemieckim w przededniu wojny żyło niemal siedemdziesiąt milionów ludzi, a przez Deutsches Heer, cesarską armię, przewinęło się czternaście milionów mężczyzn. Prawie połowę z ponad trzydziestu milionów mężczyzn w kraju stanowiły dzieci, które w trakcie trwania wojny nie osiągnęły siedemnastego roku życia, lub starsi mężczyźni, którzy zdążyli skończyć czterdzieści pięć lat i w ten sposób uniknąć poboru. Dało to liczbę oscylującą między siedemnastoma a dwudziestoma milionami mężczyzn, których można było zmobilizować. Niektórzy mężczyźni służyli kilka miesięcy, inni – kilka lat, ale prawie każdy zdolny do służby trafił w kamasze. W tym czasie gospodarka Niemiec spoczywała przede wszystkim na barkach kobiet. W takich warunkach trudno było prowadzić kopalnię. Mimo mechanizacji najistotniejszym zasobem nadal były ludzkie mięśnie. Kolejnym ciosem dla zakładów, tyle że zadanym z drugiej strony, był ogólny spadek zamówień

*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

